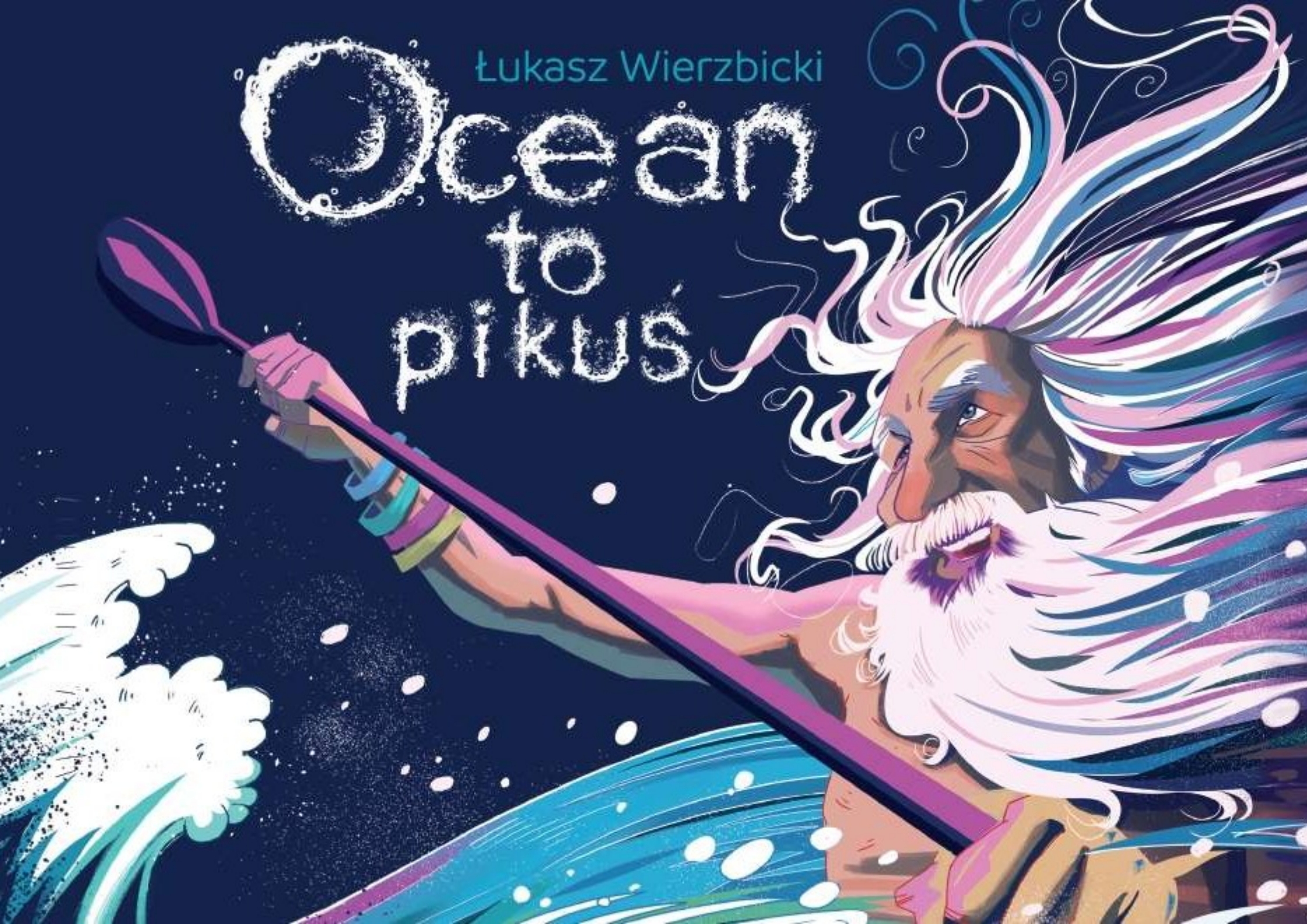


Łukasz Wierzbicki

Ocean to pikus





Czy się bałem? Ani trochę.

Pchnąłem kajak na głębszą wodę i wskoczyłem do środka. Olo zakoty-
sał się. Chwyciłem wiosło i machnąłem energicznie. Plusnęło przyjemnie.
Po raz pierwszy.

Czy czułem radość? Nie. To było inne uczucie.

Nie widziałem drogi czy choćby ścieżki, która prowadziłaby na drugą
stronę. Jedynie ślady wiatru na bezkresnej tafli.

Ocean był cichy i spokojny, ja jednak słyszałem jego zew. Wołał mnie.
Jak góra, która wzywa, by się na nią wspiąć. Jak las, który zaprasza,
by wejść między drzewa. Jak książka, która kusi, by przerzucić kolejne
strony i przeczytać opowieść do samego końca.

Czułem, że jakaś potężna siła pcha mnie na spotkanie przygody.
Byłem na nią gotowy. To był ten dzień, na który czekałem. To był ocean,
który czekał na mnie.

Powoli zanurzyłem wiosło raz jeszcze, a potem znów i jeszcze jeden...

Doba pierwsza

DZIADEK MŁODY DUCHEM

Otworzyłem pamiętnik i z trudem, bo lekko kołysało, zapisałem w nim miejsce oraz datę startu: „Port w Dakarze, Senegal, Afryka. 26 października 2010 roku, godzina 15:30”.

I podpis: „Aleksander Doba”.

Co dalej?

Chciałbym przepłynąć kajakiem Ocean Atlantycki z jednego kontynentu na drugi i dotrzeć do Ameryki Południowej. Wiosłując. Bez użycia żagli. Taki mam plan. Jeśli wszystko się powiedzie, będę pierwszym człowiekiem w historii świata, który dokona takiej sztuki. A wy będziecie świadkami mojego sukcesu!

Jak długo potrwa rejs? Nie wiem. Na wszelki wypadek biorę ze sobą zapasy jedzenia obliczone na pół roku, choć mam nadzieję, że podróż nie zajmie aż tyle czasu.



Skąd ten szalony pomysł? Wiele pasji miałem w życiu. Latałem szybowcem, skakałem ze spadochronem, byłem żeglarzem i kolarzem, wierzcie mi jednak, żaden sport nie dał mi tyle radości, co kajakarstwo. Pływałem z wiosłem po rzekach i jeziorach, wzdłuż, w poprzek i na przełaj Polski. Opłynąłem Morze Bałtyckie, Bajkał na Syberii, powiosłowałem wzdłuż norweskich fiordów hen za koło podbiegunowe... a im trudniej, tym więcej miałem frajdy... i wciąż było mało.

W końcu przyszła mi do głowy myśl, by wyprowadzić się kajakiem przez ocean. Zuchwałe marzenie nie dawało mi spokoju. W żaden sposób nie mogłem go odgonić. Musiałem podjąć wyzwanie.

Przygotowania do wyprawy trwały wiele miesięcy. I oto jestem, płynę, przygoda rozpoczęta!

Gdy wyjeżdżałem z Polski, zagadnął mnie jeden z przyjaciół:

– Olek, dziadku, masz sześćdziesiąt cztery lata. Coś ty wymyślił?! Fotel bujany byś sobie kupił, a nie kajakiem na podbój świata wyruszał.

– Jestem dziadkiem, to prawda – odparłem z uśmiechem. – Ale wierz mi, żem młody duchem. A bujany fotel? Oho, dziękuję. Na tym Atlantyku to już mnie wybuja za wszystkie czasy!



Doba druga

OLO, KAJAK CO SIĘ ZOWIE

Mój kajak, nazwałem go Olo*, nie jest zwyczajnym kajakiem, jakim pływa się po rzekach lub jeziorach. O, nie! Olo to kajak nad kajaki! Kajak co się zowie!

Zgodnie z fachową definicją kajak to „łódź o wrzecionowatym kształcie, ostro zakończona na obu końcach, w której siedzi kajakarz zwrócony twarzą do kierunku jazdy i napędza ją wiosłem swobodnie trzymanym w ręku”.

* Na ilustracjach przedstawiliśmy kajak Olo tak, jak wyglądał podczas drugiej wyprawy w 2014 roku.

I wszystko się zgadza. Mój Olo ma kształt jak trzeba, a ja napędzam go wiosłem, jak należy. A jednak Olo jest wyjątkowy, bo to jedyny w swoim rodzaju kajak oceaniczny, specjalnie zaprojektowany na tę wyprawę.

Jest duży, ale nie nazbyt. Szeroki na metr, długi na siedem. Ma przepastny schowek na bagaż, narzędzia i prowiant, bogato wyposażoną apteczkę, zbiornik z wodą do picia, niewielką kabinę do spania, panele słoneczne do ładowania akumulatora, całą masę innych sprzętów, a nade wszystko zmyślną konstrukcję, dzięki której jest niezatapialny. Ocean może nim miotać na wszystkie strony, zalewać go wodą, wyczyńniać z nim najróżniejsze sztuczki, a Olo niewzruszony będzie unosił się na powierzchni i płynął tam, gdzie go skieruję. Czy tak będzie? Miejmy nadzieję. Wkrótce się okaże...

Wiosłowałem cały dzień i cały wieczór, do późnej nocy. W końcu zmęczony odłożyłem wiosło, umyłem zęby, zwinąłem się w kłębek w kajucie i przymknąłem oczy.

Noc na oceanie. Łagodnie kołysało. Leżałem i wsłuchiwałem się w odgłos fal uderzających o burtę.

Plusk... plusk...

Plusk...

Nijak nie mogłem usnąć. Wychylnąłem z kabiny i usiadłem okrakiem na kadłubie. Księżyc spoglądał na mnie z góry, a jego okrągłe oblicze odbijało się w pomarszczonej wiatrem tafli wody. Nagle zmęczenie minęło.

„Czasu szkoda na spanie...” – pomyślałem.

Sięgnąłem po wiosło i pociągnąłem zamasyście. Przed siebie.

– Płyń, mój Olo. Miejmy nadzieję, że wytrzymasz tę przeprawę – mruknąłem. – A jeśli ty wytrzymasz, to ja też – dodałem.



Doba dwudziesta czwarta

ORSZAK POSEJDONA

Naliczyłem sześć morskich stworów. Masywne, ponure sylwetki, długie na półtora metra, może więcej, złocistymi grzbietami pręły ocean tuż za moim kajakiem. To były koryfeny, zwane też rybami mahi-mahi. Co jakiś czas któraś z bestii wystawiała paskudny pysk z wody i szczyrzyła ostre jak noże zębiska.

Dziwnie czułem się w tym towarzystwie. Miałem wrażenie, że ściga mnie stado wygłodniałych hien. Nie to jednak było najgorsze. Całe te mahi-mahi irytowały mnie przede wszystkim dzikimi wyskokami w powietrze. Ochlapwały wtedy słoną wodą mnie, mój obiad albo, co szczególnie przykre, kawę, którą akurat miałem zamiar wypić.

– Już ja was oduczę tych wygłupów! – Pogroziłem morskim żartow-
nisiom.

Czy można wytresować oceaniczne mahi-mahi? Spróbować zawsze warto.

Od tej pory, ilekroć w moim pobliżu któraś z ryb wystawiała grzbiet, szturchałem ją lekko piórem wiosła. Bestia znikła w lazurowej toni, a gdy wychylała się znów... bam! Delikatnie uderzałem po raz drugi, a potem trzeci, czwarty, osiemnasty... dwudziesty trzeci... czterdziesty siódmy... i tak do skutku... Cierpliwie. Miałem czas.

Aż wreszcie odniosłem sukces!

Wyobraźcie to sobie, sześć drapieżników płynęło, jak należy, przed kajakiem. Unosiłem wiosło po prawej, a wtedy trzy ryby wyskakiwały z wody po lewej. Unosiłem wiosło po lewej, z wody wyskakiwała trójka po prawej. I tak na przemian, ja machałem wiosłem, a dzikie ryby, niczym świta oddanych rycerzy, ukazywały się raz po jednej, raz po drugiej stronie. Po prostu bajka!



– Wytresowałem morskie bestie! – Odłożyłem wiosło i sięgnąłem po butelkę z wodą. – Tak właśnie musi wyglądać orszak Posejdona, boga oceanów, tylko trójzęba mi brakuje – westchnąłem szczęśliwy.

Nagle... chlap! Złośliwa mahi-mahi wyskoczyła w powietrze i opryskała mnie koncertowo.

– O ty małpo! – wyzwiałem ją, grożąc jednocześnie palcem.

I tyle mam wam do powiedzenia na temat tresowania morskich dzikusów. Tak kończy się ta bajka...

Plusk!

No, znów mnie ochlapały! Wierzcie mi, z tą łobuzerią sam Posejdon nie dałby sobie rady...

Plusk!

Chlap!

Doba dwudziesta szósta

DWIE KUPY

Wielokrotnie młodzi podróżnicy dopytują mnie, jak się załatwia pewne sprawy pośrodku oceanu. I ja te pytania rozumiem. Każdy z nas, młody czy stary, musi czasem udać się do toalety.

Oczywiście na kajaku nie miałem toalety, takiej ze spuszczaną klapą, spłuczką i szczotką.

Jak radziłem sobie w tej sytuacji?

Jak najbardziej zwyczajnie.

Zakładałem uprząż żeglarską, przypinałem się liną do kadłuba i udawałem na czworakach na rufę, czyli najdalszy koniec kajaka. Kuciałem i załatwiałem potrzebę.

Pewnego poranka coś niespodzianie przeszkodziło mi w tej czynności.
Co?

Nie uwierzycie. Poczułem, że ktoś się na mnie gapi!

Wstałem, rozejrzałem się i... rzeczywiście! Sześć wielkich ryb mahi-mahi wystawiało z wody łby i beczelnie wlepiało we mnie paskudne czarne ślepie.

– Jak wam nie wstyd podglądać człowieka! – wydarłem się i wzburzony przeszedłem na drugą stronę kajaka.

Już się szykowałem... gdy z wody wprost przede mną wynurzyło się tych samych sześć ciekawskich ryb. Zdawały się pytać zgodnym chórem: „Co ty człowieku właściwie wyprawiasz?”.

– Jak to co?! – wściekłem się. – A wy nie sikacie do oceanu? Sio mi stąd! Stary wilk morski chce w spokoju zrobić kupkę! Publiki nie potrzebuje!

Gniewne krzyki podziałały, ryby zniknęły pod wodą.





Niestety nazajutrz, gdy poczułem potrzebę, wstałem, udałem się na rufę i kucnąłem... wielkie mahi-mahi znów wychynęły z wody i wpa-trywały się we mnie bezczelnie, jakby nie wiadomo co chciały zobaczyć.

Mówię wam, istny cyrk z nimi miałem. A gdy przychodziła pora robienia kupy, na końcu zawsze były dwie: jedna prawdziwa i druga... kupa śmiechu.

Fragment książki
„Ocean to pikuś”
Napisał Łukasz Wierzbicki
Zilustrował Marcin Leśniak

Wydawnictwo Pogotowie Kazikowe
www.lukaszwierzbicki.pl

Książka wpisana na Złotą Listę
„Cała Polska czyta dzieciom”

